



Nowy semestr. Ruszamy z kopyta!

BEZPŁATNA GAZETA STUDENTÓW WYDZIAŁU NAUK POLITYCZNYCH I DZIENNIKARSTWA

BARDZO UNIWERSYTECKIE CZASOPISMO

Pamięć o przeszłości, wzór dla przyszłych pokoleń dziennikarzy

W poniedziałkowy poranek 10 października na Wydziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa odbyło się uroczyste odsłonięcie tablicy poświęconej Jarosławowi Ziętarze, zamordowanemu dziennikarzowi „Gazety Poznańskiej”. Wydarzenie miało miejsce miesiąc po 30. rocznicy jego zaginięcia.

Tablica została umieszczona przy wejściu do auli na parterze, wydarzenie odbyło się w holu głównym Wydziału. Dziennikarz był absolwentem Instytutu Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM. W chwili śmierci miał zaledwie 24 lata, a jego dorosłe życie i kariera dopiero się rozpoczynały. W swojej pracy zawodowej badał afery gospodarcze. Został uprowadzony i zamordowany w 1992 roku. Tablica w tym miejscu ma być symbolem pamięci o nim dla jego następców.

Podczas inauguracji uroczystości zaproszonych gości i studentów przywitała profesor Bogumiła Kaniewska, Rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Przywołując historię Jarosława Ziętary – dziennikarza, który zginął, pragnąc odnaleźć prawdę – wspominała o odpowiedzialności, z jaką wiąże się ten zawód. W swoim przemówieniu mówiła o zobowiązaniach, takich jak dążenie do prawdy, odpowiedzialność za przekaz i nastroje społeczne oraz bycie wiernym etyce dziennikarskiej.

Następnie głos zabrał Krzysztof Kaźmierczak, inicjator i przedstawiciel Komitetu Społecznego im. Jarosława Ziętary. Podkreślił on, że zabicie dziennikarza to zamach na wolność słowa. W demokratycznym kraju takie rzeczy nie powinny mieć miejsca. Mimo że był to jedyny dziennikarz zamordowany po 1989 roku w związku z swoją pracą za-



Tablica będzie przypominać nam istotę dziennikarstwa

wodową, to nie każdy o tej ważnej sprawie słyszał, a sam proces trwa do dziś. Nadal nie znamy prawdy oraz motywów tej sprawy. Nie jest to historia skończona. Nawet grób dziennikarza znajdujący się w Bydgoszczy jest tylko symboliczny i nadal pusty. Śledztwo w sprawie zaginięcia zostało umorzone w 1999 roku z powodu nieodnalezienia jego zwłok, a on sam został uznany za zmarłego. Na jego grobie napisano „zginął, bo był dziennikarzem”.

Krzysztof Kaźmierczak w swojej książce napisanej wraz z Piotrem Talagą „Sprawa Ziętary. Zbrodnia i klęska państwa”, którą można było otrzymać na tej uroczystości, opisuje przebieg procesu do 2015 roku. W książce można przeczytać o społecznym poruszeniu i zorganizowaniu się znajomych dziennika-

rzy w pierwszych dniach po zaginięciu Jarosława Ziętary.

Odczytano list wojewody wielkopolskiego, który życzył przyszłym dziennikarzom, by pozostali oni wiernymi sobie. Życzył też wszystkim, by sprawiedliwość zatriumfowała i prawda została ujawniona. Później głos zabrał Dziekan Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa profesor Andrzej Stelmach. Podkreślił szczególną rolę, jaką pełnią dziennikarze. „Żaden zawód nie może oznaczać ofiary z życia” – podkreślał. Korespondenci wojenni i dziennikarze śledczy są jednak narażeni na szczególnie niebezpieczeństwo związane z tym zawodem.

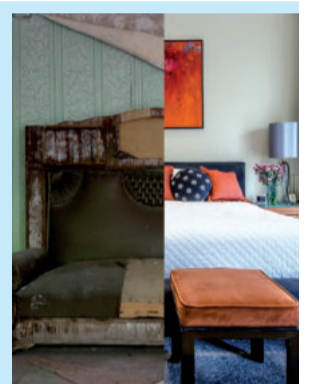
Po oficjalnej części uroczystości odbył się pokaz filmu przygotowanego przez studentki Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa. Film został

zrealizowany jako projekt towarzyszący pracy magisterskiej i pokazywał, jak osoby związane z Wydziałem i znajomi ze studenckich lat wspominają Jarosława Ziętarę. Następnie zaproszeni goście, również ci wypowiadający się w filmie, opowiedzieli, jak wygląda obecnie proces sądowy oraz przytoczyli anegdoty sprzed trzydziestu lat.

Pamięć o osobie, która oddała swoje życie za prawdę, jest bardzo ważna. Nikt nie powinien musieć poświęcać tego, co najcenniejsze, w obronie swoich wartości. Jednak ta postawa stanowi wzór do naśladowania dla przyszłych pokoleń dziennikarzy.

Fotorelacja z wydarzenia na następnej stronie.

Karina SZYMCZAK
karszy@st.amu.edu.pl



Dach nad głową po studencku s. 3

Polecamy



Czy faktycznie w utopijnym świecie nie ma o co się martwić? s. 4



W Czarny Piątek nie trać czujności! s. 5

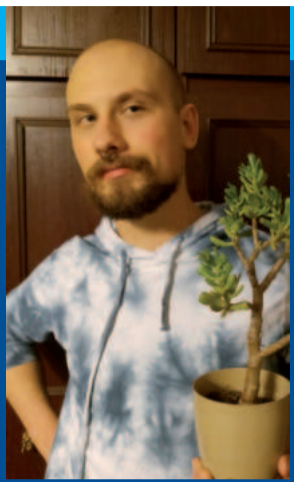


Mundialowe odliczanie. Polaków losy na mistrzostwach świata s. 7

Od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

Powrót na uczelnię po wakacjach w tradycyjnym, stacjonarnym trybie może być trudny. Mamy nadzieję, że poradziliście sobie z szukaniem sal wykładowych, a okazjonalne remonty w Poznaniu nie dały się Wam za bardzo we znaki. Przed nami nowy semestr i nowe wyzwania. Żeby złagodzić Wam konieczność przyjeżdżania na wydział, przychodzimy do Was z nowym numerem. Przeczytacie u nas o tym, co wyróżnia polską szkołę plakatu. Czy nieprzetłumaczone tytuły to lenistwo tłumacza, czy kryje się za tym coś więcej? Opowiemy jak najlepiej świętować Czarny Piątek, żeby zakupy nas nie przytłoczyły. Na fanów sportu czeka natomiast krótka opowieść o dziejach Polaków na mundialu, jak i pożegnanie legend tenisa. Nie zapomnijcie zajrzeć też na naszą stronę internetową i na nasze media społecznościowe. Przyjemnej lektury i powodzenia w nowym semestrze!



Redaktor miesiąca



Natalia Rogowska

Hej! Jestem Natalia i od kilku miesięcy działam w dziale informacyjno-publicystycznym. Uwielbiam zagłębiać się w przeróżne sprawy polityczne i społeczne, lecz nieobca jest mi również sztuka czy literatura. Aktualnie spełniam się także podróżniczo, ponieważ tegoroczny zimowy semestr spędzam w Portugalii.



Wydawca
Wydział nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelny
Marcin Nowicki
**Zastępca redaktora
naczelnego**
Maria Lutkowska
Sekretarz redakcji
Aleksandra Kłosowska
Numer makiętowali
Marcin Nowicki
Wydawca numeru
Marcin Nowicki

Redakcja merytoryczna:
Olga Rydzewska,
Wiktor Kepiński
Aleksandra Kłosowska,
Eryk Więsyk,
Milena Mrozek
PR i Social Media
Aleksandra Kłosowska,
Milena Mrozek,
Emilia Szkobodzińska

Korekta
Maria Lutkowska,
Natalia Rogowska,
Marcin Nowicki
Redakcja
Daria Bajorek
Aleksandra Białas
Natalia Budna
Adam Checiński
Julia Czekalska
Joanna Dąbrowska

Justyna Furmaniak
Julia Gawłowska
Marta Godurkiewicz
Aleksandra Grzelak
Milena Guzik
Darya Hurosh
Bartosz Kabaciński
Julia Kaczmarek
Wiktor Kepiński
Aleksandra Kłosowska
Karina Konyś

Karolina Kozłowska
Hanna Kułak
Kamil Kwiatkowski
Kacper Lewandowski
Kuba Lipnicki
Maria Lutkowska
Natalia Laszewska
Magdalena Maciejewska
Agata Mania
Klaudia Michalak
Olga Michalska

Stanisław Mrowicki
Milena Mrozek
Marcin Nowicki
Marcin Ostrowski
Wiktor Pohorecki
Natalia Rogowska
Florentyna Rybczyńska
Olga Rydzewska
Wiktoria Różak
Michał Rzeźnik
Kristina Semendiak

Anastasiya Shcherba
Karolina Sieradzan
Ilona Skrzypczak
Sofia Stefaniuk
Emilia Szkobodzińska
Karina Szymczak
Izabela Tomaszewska
Kacper Tyczewski
Eryk Więsyk
Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna,
Lesław Ciesiołka
Skład komputerowy
Tomasz Szukała
Druk
Drukarnia Prasowa
ul. Malwowa 158, Skórzewo
Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania
nadesłanych tekstów.

Wbrew obiegowej opinii, podstawowymi czynnikami efektywnej nauki na studiach nie są staranne notatki, czy opracowany wysiłkami kilku pokoleń studentów skrypt. Podstawą podstaw jest mieć miejsce, w którym można przeczytać te notatki bez obaw, że deszcz będzie czytać z nami. Coraz częściej okazuje się to wyzwaniem.

Procent studentów, którzy są miejscowi, jest niewielki. Większość z nas przyjeżdża z różnych krańców Polski i świata, licząc, że uda się znaleźć swój kącik, gdzie będzie można w spokoju panikować przed sesją i zająć się słownikami od mamy. Niestety, rynek mieszkaniowy nie ułatwia osiągnięcia tego celu.

Żarty o tym, że studenci są biedni, że żyją o zupkach chińskich i parówkach gotowanych w czajniku znane są nie od dziś. Jednak te żarty zaczynają coraz więcej oddawać rzeczywistość. Ceny mieszkań i pokoi potrafią przyprawić o ból głowy. Nawet akademiki, choć nadal pozostają tańszą alternatywą, nie odbiegają daleko od prywatnych lokali. Dla osób studiujących dziennie, które prawie nigdy nie mogą pozwolić sobie na pracę na etacie, rosnące ceny są wyjątkowo dotkliwe. Wynajmujący korzystają z faktu, że studenci muszą znaleźć mieszkanie w pobliżu uczelni. Przeprowadzka na obrzeża, albo do mniejszej miejscowości, gdzie ceny powinny być niższe, nie wchodzi w rachubę. To jednak nie sama cena jest problemem. Prawdziwym problemem jest to, że standardy nie idą z nią w parze. W mieszkaniu brakuje piekarnika, albo co gorsza piekarnik jest, ale każda próba jego użycia powoduje niezdrowy zastrzyk adrenaliny? Nie szkodzi, jakiś student na pewno się zdecyduje. Pod sufitem rośnie wesoło wcześniej nieodkryty gatunek muchomora? Ważne, że politechnika jest trzy przystanki stąd. Nikt inny

Dach nad głową po studencku

nie wzięły na poważnie takiej oferty. Ale student nie ma wyjścia.

W morzu rozkopanych ulic

Sytuacja w Poznaniu w szczególności ma jeszcze jeden poziom skomplikowania. Z pierwszą chwilą na terenie miasta, nowoprzyjeźdźni wchodzą w magiczny świat remontów. Co druga ulica stara się imitować Wielki Kanion, tramwaje przy dobrych wiatrach jeżdżą wahadłem, przy gorszych zmieniają się w miejską legendę, na istnienie której nie ma dowodów. Poruszanie się po mieście zmienia się w spacer po labiryncie. Szukający mieszkania muszą dodatkowo wziąć pod uwagę niestabilność komunikacji miejskiej. W sytuacji, w której i tak chętnych jest więcej niż ofert, odcięcie niektórych lokalizacji od sensownej komunikacji jest najbardziej żarzewiałym gwoździem do trumny.

Prawdziwy student mieszka w akademiku

Jeśli na tym etapie ktoś jeszcze nie zdecydował się na bezpieczniejszy i tańszy akademik, to jest z nim coś nie tak. Ale czy na pewno? Dom studencki dla wielu ludzi niezaznajomionych z tematem wydaje się oczywistym rozwiązaniem. To jednak tylko pozory. Pierwszą kwestią jest to, że miejsca w akademikach są ograniczone. Już pomijam fakt, że do akademika trzeba jeszcze się dostać, nie unikamy tutaj sita, które obowiązuje wokół prywatnych mieszkań. Prawdziwym problemem jest to, że już teraz akademiki bywają przeludnione. Jest taniej, to prawda, ale niewiele taniej. Jeśli dla kogoś jak najniższa cena to jedyne, czym warto się przejmować, to bingo, mamy to! Można się wprowadzać. Większość osób zastanowi się jednak najpierw, czy



Nigdy nie wiadomo, co czeka za drzwiami nowego mieszkania

jest to tego warte? Czy wyrzucenie prywatności za okno pokoju dzielonego z nieznajomymi to uczciwa cena? Czy toaleta, do której trzeba robić rezerwację, bo liczba chętnych nigdy się nie kończy, to coś, na co jestem gotów? Dla osób, które potrzebują ciszy i spokoju, czy to do nauki, czy tak po prostu, akademik to wrogi terytorium. Dlatego tak ważne jest, żeby każdy miał możliwość wyboru. A gdy rynek mieszkaniowy prezentuje się tak, jak obecnie, to wybór ten zostaje wypaczony.

Co będzie dalej?

Przygotowując się do tego artykułu rozmawiałem z innymi studentami. Pytałem ich, co oni sądzą o tej przygodzie, jaką jest znalezienie dachu nad głową. Odpowiedzi były różne. Jedni mówili, że denerwuje ich podejście właścicieli mieszkań, którzy nie traktują studentów poważnie, nie spieszą się z naprawami, nie dbają

o to, żeby mieszkanie miało minimum warunków do życia. Niektórzy narzekali, że właściciele są niekonsekwentni – w jednej chwili podają dłonie i pytają, kiedy podpisanie umowy, a w drugiej dzwonią z wiadomością, że znalazł się inny chętny. Na domiar złego studenci z zagranicy żalili się, że niekiedy brak polskiego obywatelstwa skreśla ich od razu z listy potencjalnych lokatorów. Byli też i tacy, którzy mówili, że nie jest w sumie tak źle – im gorsze mieszkanie, tym zabawniejsze wspomnienia za parę lat.

Trudno przewidzieć, jak rozwinię się sytuacja studentów na rynku mieszkaniowym. Na ten moment jednak, trend jest oczywisty. Ewidentnie żarty o studencie – smakoszu dań ekspresowych i koneserze mikrokawalerek, są na tyle zabawne, że ktoś uznał, że trzeba je zmienić w rzeczywistość.

Marcin NOWICKI
marnow83@st.amu.edu.pl

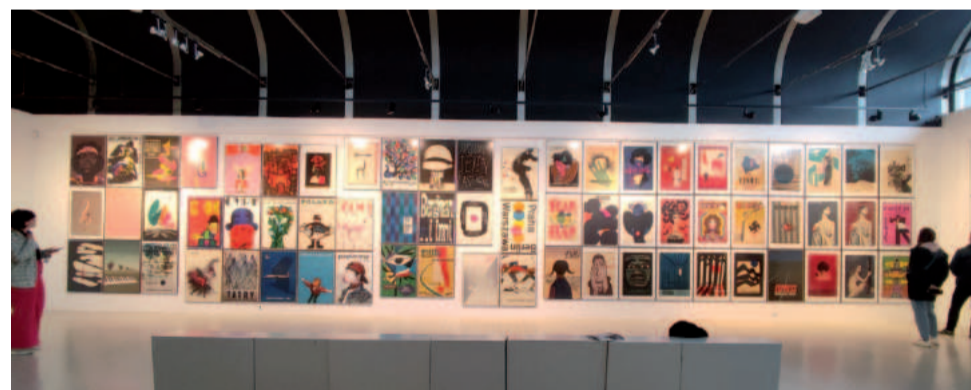
Może informować, reklamować, a nawet służyć celom propagandowym. W Galerii na Dziedzińcu przy Starym Browarze zgromadzono polskie plakaty pełniące przeróżne funkcje.

Do 28 lutego 2023 roku od wtorku do niedzieli można odwiedzać w Poznaniu wystawę zatytułowaną „Plakat wisi”. Na różnych piętrach „galerii popkultury” umieszczono dzieła wywodzące się z odmiennych nurtów. Pochodzą one w większości z prywatnych zbiorów Piotra Dąbrowskiego. Na parterze znajdują się formy graficzne autorów nowego pokolenia, odnoszące się często do spraw obyczajowych. Pierwszy poziom skoncentrowany jest wokół powojennej politycznej historii Polski. Z kolei na najwyższym piętrze znaleźć można prace najsłynniejszych przedstawicieli Polskiej Szkoły Plakatu. W tym miejscu warto zadać pytanie – od czego rozpoczął się jej fenomen?

Ulica salonem plakatu

Prawie 75 lat temu Henryk Tomaszewski otrzymał pięć nagród na Międzynarodowym Festiwalu Plakatu w Wiedniu. Grafik uważany jest za jednego z twórców Polskiej Szkoły Plakatu. Istnieją pewne rozbieżności co do posługiwania się tym terminem. W przypadku tej dziedziny trudno mówić o istnieniu zorganizowanej formacji skupionej wokół jednego ośrodka. Zdaniem kuratora Muzeum Plakatu w Wilanowie najprecyzyjniej jest mówić o pewnym artystycznym zjawisku od schyłku lat 40. XX wieku do połowy lat 60. XX wieku. W jednakowym czasie swoje prace tworzyło kilka indywidualności. Nie mieli wspólnego programu. Niektórzy posługiwali się kolażem czy fotomontażem, inni głównie rysunkiem i fotografią. Można jednak znaleźć kilka podobieństw między projektowanymi w tamtych

Plakat wisi



Tu widnieją prace przedstawicieli polskiej szkoły plakatu

czasach plakatami. Przede wszystkim warto zwrócić uwagę na operowanie symbolem. Odczytanie zawartych w dziełach metafor wymagało od odbiorców wysiłku intelektualnego.

Polski plakat rozkwitał w warunkach społeczno-politycznych, które wydawałyby się – mogłyby całkiem zabić kreatywność twórców. Niemożność zaistnienia w kulturze wysokiej została zrekompensowana możliwością ubarwienia murów szarej rzeczywistości. Działo się to za sprawą otrzymywania państwowych dotacji dla kultury. Dzięki temu graficy w pracowniach mogli dać upust swojej wyobraźni, projektując plakaty m.in. teatralne, filmowe, festiwalowe czy operowe. Na warsztat brano również cyrkowe afisze wyniesione do rangi sztuki. Nie brakowało i turystycznych, czego przykładem jest praca Ryszarda Kai pt. „Tatry”.

Dwa scenariusze dla Polski

Zwiedzający pierwsze piętro są postawieni przed dylematem. Czy najpierw udać się w lewo

w stronę socrealizmu i propagandy? A może w prawo, tam, gdzie widnieją plakaty „Solidarności”? W którą stronę by nie ruszyli, czeka ich spora dawka historii – w papierowej formie.

To żadna tajemnica, że przekaz plakatu propagandowego nie może być zbyt skomplikowany. Nie inaczej było w przypadku PRL-u. Bazowano wtedy na najprostszyszy schematach, kreując czarno-białą rzeczywistość. Politycy uznawani za wrogów byli przedstawiani w jak najgorszym świetle. Tak jak w przypadku plakatu parodiującego afisz filmowy, przedstawiającego Ronaldę Reagan, któremu wytykano aktorską przeszłość. Z kolei socrealistyczne plakaty mające za zadanie zmobilizować obywateli do ciężkiej pracy przedstawiały w monumentalny sposób robotników niczym herosów.

W zupełnie innym stylu były wykonywane plakaty opozycyjne. Minimalistyczne, jeśli chodzi o formę, ale bogate w treść. Zawarta w nich gra słów była nie tylko wyrazem intelektu twórców, ale sposobem na ukrycie drugiego dna. Jeśli cho-

dzi o kolorystykę, to dominowały barwy: czerwona, biała oraz czarna. Zwiedzającym wystawę towarzyszył akompaniament w postaci utworu „Historia Solidarności” autorstwa Jarka Śmietany, który twierdził, iż mimo zmiany ustroju w Polsce na demokratyczny, nie zakończyły się wewnętrzne podziały.

Przyszłość polskiego plakatu

Nie boją się bawić formą ani budzić kontrowersji. Tematyka ich prac oscyluje wokół otaczającej nas rzeczywistości. Uwrażliwieni na ograniczanie praw człowieka i obywatela w kontekście wolności wypowiedzi czy orientacji seksualnej. Często używają jaskrawych barw zestawiając je z czernią. W ten sposób łatwiej trafić ze swoim przekazem do współczesnego odbiorcy, który potrzebuje coraz to silniejszych bodźców. Przykładem może stanowić praca „Pali się” Diany Karpowicz przedstawiająca płonące poroże losia. Autorka odnosi się w ten sposób do zbiórki pieniędzy na gaszenie pożaru Biebrzańskiego Parku Narodowego.

Oprócz plakatów o społecznym przesłaniu, na parterze wystawy znajdują się również plakaty filmowe. Współcześnie, ich artystyczna odmiana pojawia się coraz rzadziej ze względu na większe zapotrzebowanie na komercyjne postery. Nie powstrzymuje to jednak twórców nowego pokolenia przed inspirowaniem się klasykami.

Oczywiście na przestrzeni dekad pojawiło się kilka zmian, w tym kulturowa, i dziedzina ta przestała być zdominowana przez twórców płci męskiej. Oprócz tego zaistniała możliwość projektowania plakatów na urządzeniach cyfrowych. Nie spowodowało to jednak całkowitego zatarcia zabawy słowem i symbolem.

Polski plakat wisi i ma się dobrze.

Milena GUZIK
milguz@st.amu.edu.pl

Wytłumaczenie dla nietłumaczenia tytułów

Rzut oka na półki w księgarniach pozwala zauważyć, że wśród książek dla młodych odbiorców pojawia się coraz więcej nieprzetłumaczonych, anglojęzycznych tytułów. Niedawno w internecie wybuchła z tego powodu gorąca dyskusja, w której nie obyło się bez złowróżbnego pytania: „Czy język polski jest zagrożony?”.

Zagraniczne tytuły na polskim rynku nie są niczym nowym. Nieraz bywało, że przetłumaczony tytuł tracił drugie dno, jakie posiadał oryginał, zyskiwał inne, niekorzystne konotacje w języku polskim albo zwyczajnie źle brzmiał. Każdy język ma swoją specyfikę – i tak na przykład stosunkowo krótki tytuł „Red, White & Royal Blue” przetłumaczony dosłownie na język polski rozrósłby się do kilkunastu sylab. Kiedy w 2014 roku w Polsce pojawiły się pierwsze wydania książek Colleen Hoover, to debiutancka książka autorki otrzymała co prawda polski tytuł „Pułapka uczuć”, jednak wydane w tym samym roku „Hopeless” i „Ugly Love” pozostały w wersji angielskiej. Od tego czasu sukcesywnie wydawano u nas kolejne książki Hoover i tytułów w większości nie tłumaczono.

Skąd „moda” na angielskie tytuły?

Trudno jednak już wtedy doszukiwać się początków dzisiejszego trendu. Anglojęzyczne tytuły zdarzały się, ale stosunkowo rzadko, a i usprawiedliwienie dla pozostawienia oryginalnego tytułu było znacząco inne. Rozwój mediów społecznościowych, w szczególności Instagrama i TikToka, przyniósł dwie znaczące zmiany.

Po pierwsze, umożliwił szybszy, nieraz codzienny kontakt na linii czytelnik-wydawnictwo. Wydawnictwa bardziej wsłuchują się w opinie czytelników i śledzą panujące wśród nich trendy, aby lepiej spełniać ich potrzeby. Po drugie, Bookstagram i BookTok stały się przestrzenią, z której potencjalni czytelnicy czerpią inspirację. Kiedy przeglądamy media społecznościowe, nasz umysł często swobodnie dryfuje, ale wciąż chłonie obraz okładek, które później łatwiej dostrzeżemy na księgarskich półkach.



Trzy książki z oryginalnymi tytułami, które ukazały się w Polsce w minione wakacje

Książki takie jak „The Love Hypothesis” czy „The Spanish Love Deception” właśnie na TikToku rozpoczęły swoją karierę. Krótkie filmy nagrywane przez fanów powieści nakręcały spirale popularności. Dlatego okładki polskich wydań tych książek otrzymały naklejki „fenomen TikToka”. Co ciekawe, właśnie to niewielkie oznakowanie pozwala nam odróżnić polskie wydanie od zagranicznego.

„Czy ta książka w ogóle jest po polsku?”

Tutaj pojawia się jeden z głównych argumentów w sporze. Jeśli okładka oraz tytuł pozostają niezmiennione, to skąd okazjonalny czytelnik ma przy internetowych zakupach wiedzieć, że kupuje książkę w języku polskim? Być może umieszczenie takiej naklejki przez wydawnictwo oznacza, że nie kieruje ono swego przekazu do osób niezaznajomionych z czytelnickimi trendami. Zwraca się głównie do tych śledzących książkowy content na Instagramie i TikToku. Ci użytkownicy będą kojarzyć książkę z zagranicznych filmików i w zmienionym kształcie z łatwością rozpoznają ją na rynku polskim.

Jednak burza o nietłumaczenie tytułów rozgorzała właśnie wśród zaangażowanych grup czytelników w internecie. To dowodzi, że również dla nich oryginalny tytuł nie zawsze jest korzystnym wyborem, ułatwiającym

identyfikację książki. Przeciwnicy angielskich tytułów krzywo patrzą na książkę, która jest kalką wydania zagranicznego. Przypisują wydawnictwom brak inwencji twórczej albo lenistwo, szczególnie w przypadku, gdy tytuł łatwo przetłumaczyć, jak na przykład „Cinderella Is Dead”. Nieraz wyciągają broń większego kalibru, utrzymując, że wskutek postępującej globalizacji język polski w oczach współczesnych pokoleń powoli odchodzi do lamusa.

„Przecież wszyscy znamy angielski”

Zwolennicy angielskich tytułów powołują się na ich lepsze brzmienie i wierność oryginałowi. „She Drives Me Crazy” jedynie w oryginale zawiera czytelne odwołanie do piosenki; nie ma również prostego sposobu na przetłumaczenie „Heartstoppera”. Dodatkowo, skoro w internetowych kregach książka jest rozpoznawalna pod oryginalnym tytułem, to po co ten atut tracić?

Niektóre wydawnictwa idą o krok dalej, umieszczając na okładce popularne hasztagi określające motywy występujące w książkach, jak w przypadku „The Cheat Sheet”. Enemies to lovers (relacja od nienawiści do miłości), grupy sunshine (związek osób o przeciwnych osobowościach), found family (głęboka, rodzinna więź między bohaterami, pomimo braku pokrewieństwa) to tylko niektóre z określeń

często pojawiających się w hasztagach na TikToku i Instagramie. Polska okładka zyskuje nawet więcej angielskiego tekstu niż oryginał, ale za to z miejsca informuje czytelnika, że w książce pojawią się jego ulubione motywy.

Czego chcą czytelnicy? Oto jest pytanie

Problem w tym, że później wydawnictwa z tego całego nietłumaczenia tytułów muszą się... tłumaczyć. Dystans między wydawcą a czytelnikiem coraz bardziej zanika. Czytelnicy w ankietach coraz częściej krzywią się na polskie odpowiedniki i domagają się pozostawienia tytułów oryginalnych. Z drugiej strony, na Instagramie pod zapowiedziami wydawniczymi nieraz krytyczne głosy w sprawie nieprzetłumaczonego tytułu przeważają nad tymi zadowolonymi, jak to było w przypadku „Cinderella Is Dead”.

W momencie powstawania tego tekstu w pierwszej dziesiątce najlepiej sprzedających się książek miesiąca według Empiku znajduje się aż siedem tytułów anglojęzycznych! Co ciekawe, część z nich wyszła spod pióra polskich autorek. Marta Łabęcka, Monika Rutka czy P.S. Herytiera swoją twórczość rozpoczęły na platformie Wattpad, gdzie już wcześniej popularne było pisanie polskich książek o angielskich tytułach. Większość polskich oraz zagranicznych powieści o takich tytułach zalicza się do romansów i erotyków. Praktyka ta zaczyna jednak obejmować inne gatunki.

Istnieje rozwiązanie kompromisowe, na które coraz częściej decydują się wydawcy – oryginalny tytuł z polskim podtytułem. Mielśmy już na rynku „Vicious. Nikczemni” czy „Felix Ever After. Na zawsze Felix”, a obecnie zbliżają się takie premiery jak „Raybearer. Władcy Promienia” i „This Poison Heart. Zatrute serce”. Tutaj jednak pojawia się pytanie, czy takie podważanie tytułów ma w ogóle sens? Sprawa wywołuje zaskakująco dużo emocji, a wśród tak wielu sprzecznych opinii trudno stwierdzić, jakie jest najlepsze rozwiązanie dla wydawnictw. Czas pokaże, czy nietłumaczenie tytułów stanie się równie stałą praktyką co nietłumaczenie imion w powieściach, czy jest to tylko tymczasowy trend.

Maria LUTKOWSKA
marlut1@st.amu.edu.pl

Czy faktycznie w utopijnym świecie nie ma o co się martwić?

Kontrowersje wokół premiery oraz samego procesu powstawania filmu sprawiły, że trudno znaleźć osobę, która nie słyszała jeszcze o produkcji „Nie martw się kochanie” w reżyserii Olivii Wilde. Film swoją premierę miał na 79. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji. Była to jedyna premiera, ponieważ aktorzy nie byli chętni do wspólnej promocji.

Pierwszą kontrowersją było to, iż w rolę Jacka, którego ostatecznie odegrał Harry Styles, wcielić miał się Shia LaBeouf. Aktor podobno został zwolniony, jednak do tej pory nie znamy prawdziwej wersji zdarzeń. Podczas nagrań reżyserka Olivia Wilde wdała się w romans z Harrym, co podobno nie spodobało się reszcie obsady. Premiera również nie obyła się bez skandali, takich jak to, że reżyserka oraz dwoje głównych aktorów – Florence Pugh i Harry Styles – nie pozwolili razem do zdjęć oraz trzyma-

li się na dystans w każdej możliwej sytuacji. Pojawili się również nagrania wskazujące jakoby Styles oplotł podczas premiery innego aktora – Chrisa Pine’a. Wszelkie plotki na ten temat zostały zdementowane przez aktorów, którzy wytłumaczyli, że wspomniana sytuacja nie miała miejsca i chociaż na nagraniu może wydawać się, że Pine został oploty, nie jest to prawdą.

Jeżeli chodzi o sam film, jego akcja rozgrywa się w latach 50. w eksperymentalnym miasteczku o nazwie Victory. Jak można było zauważyć w zwiastunach, życie w miasteczku polega na tym, iż kobiety spędzają całe dnie dbając o dom, wychowując dzieci, spotykając się ze sobą, natomiast mężczyźni w tym czasie wybierają się do pracy. Kluczem jest to, że nie mogą oni zdradzić swoim żonom, nad czym pracują. Główna bohaterka zaczyna jednak dostrzegać, że coś jest nie tak i próbuje odkryć prawdę.

Pomimo fali krytyki, reżyseria Olivii Wilde jest dobra. W filmie czuć rosnące napięcie. Wykorzystane zostały ciekawe ruchy ka-

merą, która w niektórych momentach krążyła wokół bohaterów, co nadawało filmowi interesującego klimatu. Pojawili się wątki, które nie zostały do końca wyjaśnione, jednak całe rozwiązanie filmu ma sens. Problemem może być fakt, że w momencie kiedy oczekujemy, że wydarzenia nabiorą tempa, niespodziewanie akcja zwalnia. Sprawa to, że film może zacząć w pewnym momencie nudzić. Aktorsko zdecydowanie najlepiej spisała się Florence Pugh odgrywająca główną rolę. Bezbłędnie ukazała uczucia osoby, która na każdym kroku spotyka się z niezrozumieniem. Bohaterowie stosują wobec jej bohaterki gaslighting, przez co zaczyna ona popadać w coraz większą paranoję, co zostało świetnie odegrane. Reszta obsady również spisała się dobrze, jednak pojawiło się sporo niewykorzystanego potencjału.

Mimo iż film nie jest dziełem odkrywczym i powiela znane schematy, to i tak warto się z nim zapoznać.

Magdalena MACIEJEWSKA
maggmac10@st.amu.edu.pl



Plakat filmu „Nie martw się kochanie”

W Czarny Piątek nie trać czujności!

Zjawisko Black Friday nie jest dla nas niczym nowym. Dnia tego nie da się w żaden sposób ominąć, ponieważ sklepy zaczynają informować klientów o nadchodzących zniżkach już miesiąc przed samym „czarnym piątkiem”. Nawet jeżeli ktoś chce odciąć się od napływu informacji o promocjach, to włączając laptopa lub oglądając filmiki na YouTube, możemy się spotkać z reklamami informującymi nas o tym, gdzie są tańsze telefony i jak zaoszczędzić na zakupach. Stąd wynika pytanie – czy w ogóle da się zaoszczędzić?

XX wiek w historii znany jest z wielu tragicznych wydarzeń, ale nie możemy nie przyznać faktowi, że to wtedy rozwój nauki i techniki znacznie przyspieszył. Pojawiły się pierwsze komputery, internet, a także otwierały się pierwsze centra handlowe, które przyciągały mieszkańców wsi i miast. Termin „Black Friday” pojawił się dopiero w latach 50. w USA i oznaczał masowe zwolnienia chorobowe pracowników, którzy rozpoczynali zakupy przed świętami. Dzisiaj niewiele się zmieniło, przynajmniej w USA, gdzie pójście do galerii handlowej w ostatni piątek listopada wciąż może być niebezpieczne. W sklepach gromadzą się tłumy i czasami może dojść do tragicznych wydarzeń, tylko w celu zdobycia wymarzonej, taniej rzeczy. Ludzie zachowują się wręcz jak zwierzęta, bo presja informacji z różnych źródeł, m.in. telewizji, internetu czy banerów reklamowych, zapisuje komunikat o przecenie w naszej podświadomości.

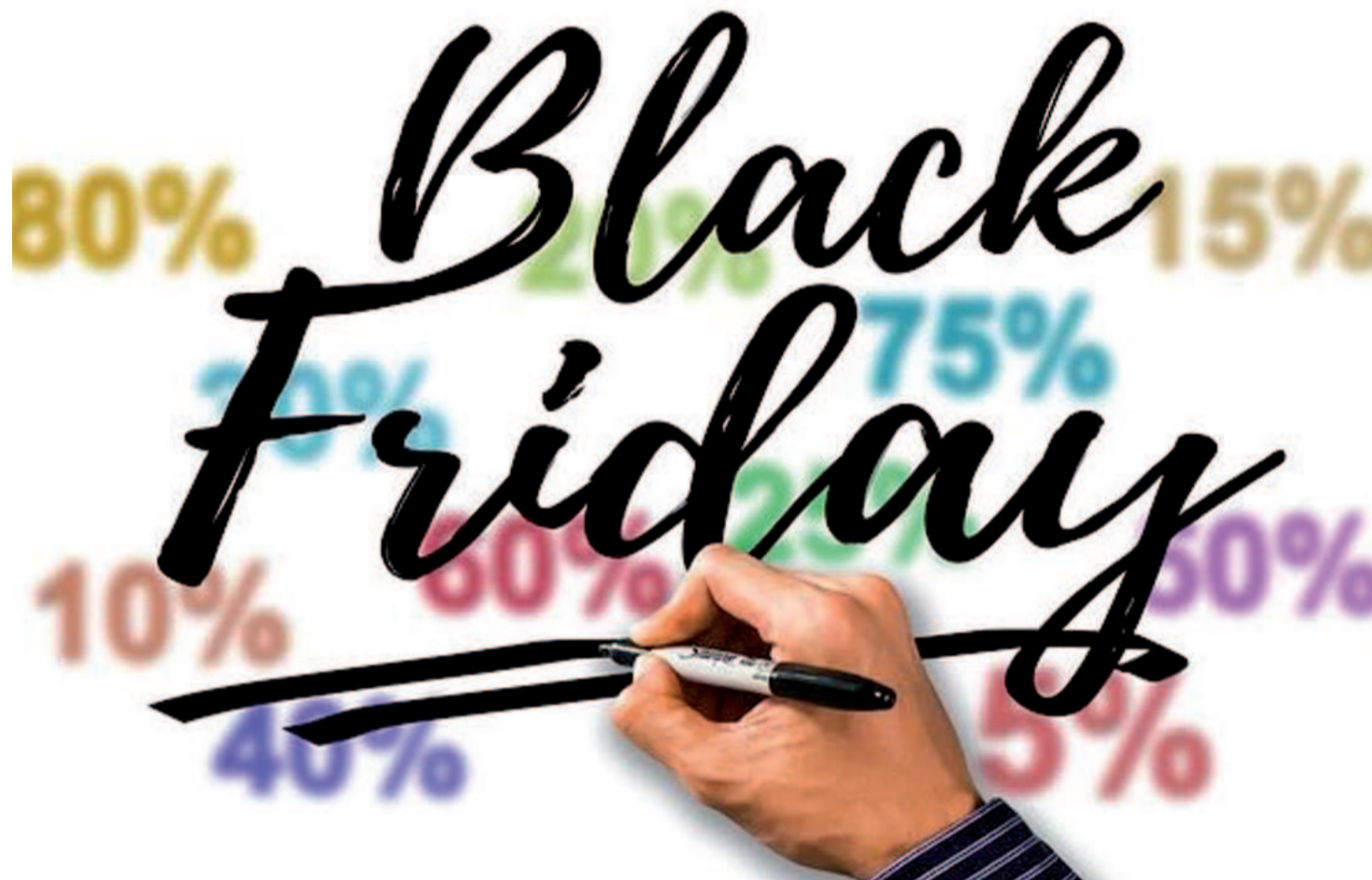
Siła Black Friday

Wiele sklepów w ciągu ostatnich pięciu lat podjęło decyzję, żeby informować klientów o promocjach za pomocą SMS-ów. Zgodnie z raportem SMSAPI w ten dzień wysłano ich około 10 milionów, a co roku liczba wiadomości się zwiększa. Jak widzimy, jesteśmy atakowani z kilku stron, nie ma takiej osoby, która nie wie o Black Friday – a przynajmniej trudno ją znaleźć, jako że musiałaby być to osoba wycofana z życia medialnego. Muszę podkreślić, że w Polsce, jak i w państwach Europy Wschodniej, Black Friday jest zjawiskiem nowym, w porównaniu do USA, ale nie bacząc na to, Polacy z chęcią i radością przyjęli to święto zakupów, a nawet stworzyli Black Week. Dla wielu ludzi jest to po prostu świetna okazja, żeby kupić coś, co bardzo chcieli, ale zawsze było im szkoda na to pieniędzy.

Kobiety są bardziej skłonne do robienia zakupów, dlatego to one stają się głównym celem różnych sklepów i firm, które za pomocą kolorowych i pięknych reklam zwracają na siebie ich uwagę. Pod wpływem zachowania innych konsumentów oraz mediów możemy dokonywać spontanicznych zakupów, które nie są potrzebne. Czujemy się wręcz zmuszeni do skorzystania z wyprzedaży, mimo że w szafie nie mamy już miejsca na nowe ubrania.

Fast fashion czy minimalizm?

Fast fashion jest tendencją do stworzenia tanich i łatwo dostępnych ubrań, które odpowiadają trendom ustalonym przez domy mody, np. Gucci, Prada lub Chanel. Na początku ten pomysł wydaje się dość ciekawy, ponieważ każdy z nas ma szansę na kupno modnych rzeczy za uczciwą cenę, więc zawsze będziemy na bieżąco z modą. Według raportu Cotton Incorporated aż 68% konsumentów weryfikuje atrakcyjność odzieży na podstawie relacji ceny promocyjnej



Ceny zmieniają się nagle tydzień przed Black Friday

do oryginalnej. Nowe kolekcje pojawiają się w sklepach co miesiąc, co wymaga od koncernów szybkiego działania i zakupów tańszych materiałów często o gorszej jakości. Nastolatki, jako typowi przedstawiciele pokolenia Z, często kuszą się na kupno takich rzeczy, bo stać ich na to – nawet jeżeli rzecz się zepsuje po kilku tygodniach, zawsze można nabyć inną.

Ekolodzy apelują o to, żeby zmniejszyć kupno niepotrzebnych rzeczy i skoncentrować się na minimalizmie, przed zakupami stworzyć listę najbardziej potrzebnych rzeczy i dzięki temu zmniejszyć wydatki. Minimalizm to również sposób na uporządkowanie codzienności, ponieważ nie będziemy spędzać dużo czasu przed lustrem, wybierając, co założyć do pracy czy szkoły.

Slow Fashion łączy się z pojęciem minimalizmu, ponieważ zwraca uwagę na określenie swoich potrzeb i pozbycie się impulsywnego kupowania. Zwolennicy tego zjawiska dbają o zawartość szafy i jakość ubrania. To właśnie kryterium, które odróżnia i wyodrębnia „powolną modę”. W Polsce to zjawisko powoli nabiera popularności, co widać na przykładach aplikacji, za pomocą których możemy sprzedać ubranie i na tym zarobić (Vinted, OLX czy Allegro).

Dodatkowo powstają nowe marki odzieżowe specjalizujące się w slow fashion, np. ANSIN. Ta polska marka stawia przede wszystkim na jakość, nie na ilość. Odkryciem dla mnie stała się firma Elementy, o której dowiedziałam się latem 2021 roku. Co ciekawe, marka na stronie internetowej dokładnie opisuje, co składa się na cenę ich produktu; z jakiego materiału została wyprodukowana sukienka czy bluzka. Pracownikom zależy na tym, aby konsument miał dokładne informacje i wiedział, na co wydaje pieniądze. Na tym polega istota zjawiska slow fashion, którą reprezentują również takie polskie marki, jak GAU, Maszynownia, Łyko. Nie mogą pominąć faktu, że marki działające w ramach slow fashion nie inwestują dużo pieni-

dzy w reklamy i starają się rozwijać swoją firmę organicznie. Dzięki temu, po pierwsze, wydatki idą na zakup materiału dobrej jakości, a zatem nabywca towaru po zakupie otrzymuje wspaniałą rzecz, która mu posłuży przez kilka lat. Po drugie, jak wcześniej podkreślałam, takie firmy nie orientują się wyłącznie na sprzedaż, więc nawet podczas Black Friday nie da się nabyć rzeczy w niskiej cenie. Dla małego przedsiębiorstwa nie byłoby to opłacalne. Po trzecie, takie firmy mają estetyczne i dobrze stworzone strony internetowe, które przyciągają klienta stylem i dopasowaniem kolorów. Dzięki estetyce zaczynamy widzieć zalety firmy, jej pracy, a co więcej – cena za dobro, która może być wysoka w porównaniu do innych dóbr, staje się dla nas przystępna. Chociaż nie można też zaprzeczyć, że reklamy przynoszą coraz więcej zysku. Korzystają z tego firmy, które już we wrześniu planują design banerów, plakatów oraz grafik na okazję Black Friday, żeby przyciągnąć uwagę jak największego grona odbiorców.

Black Friday dawniej i dziś

Rok 2022 jest nadal rokiem pandemicznym, a zatem większość osób, nawet ci, którzy są zaszczepieni, stara się unikać zatłoczonych miejsc. Z tego powodu, tak jak to było podczas zeszłorocznego Black Friday, zapewne wielu Polaków postanowi zrobić zakupy przez internet. Nastolatki i osoby po 25 roku życia w ogóle uważają ten sposób zakupów za najbardziej wygodny, ponieważ takie zakupy można robić wszędzie, jadąc tramwajem, siedząc w domu lub gotując obiad.

– Zakupy online są przede wszystkim szybkie i łatwe, nie musisz stać w kolejkach, ponadto czasami w sklepach internetowych są takie rzeczy, których nie ma w sklepach stacjonarnych. – mówi Marta, studentka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Według ostatnich badań 33,3% Polaków stwierdziło, że wydało mniej pieniędzy na za-

kupy w trakcie Black Friday niż rok temu, a zatem pandemia COVID-19 nawet się przyczyniła do oszczędzania. Powodem może być też coraz większa liczba aplikacji, które pozwalają nam zaoszczędzić pieniądze, na przykład pokazują, ile wydajemy na zakupy w sklepach spożywczych, na paliwo czy podróże. 25% ankietowanych przez AleBank.pl podkreśliło, iż mają takie wtyczki jak AleRabat, MyWord oraz aplikacje, w których monitorują swoje wydatki, np. BudżetOk. To pokazuje, że ludzie stają się bardziej świadomi. Wiedzą, czego naprawdę potrzebują i nie chcą wydawać pieniędzy na niepotrzebne rzeczy.

Świat staje się świadomy zmian społecznych, politycznych oraz ekonomicznych, które przyniosła pandemia. Ona zmieniła wszystko: sposoby podróży, uczenia się, pracy, a także podstawowe czynności, jak robienie zakupów i bycie z rodziną. Świat reklamy i marketingu także szybko się przystosował do warunków pandemicznych i całkiem dobrze sobie poradził, tworząc reklamy, które zachęcały do bycia w domu oraz zakupów online. To przyniosło zyski, a zatem wpływ reklam na człowieka miał jeszcze większą moc. Po ponad dwóch latach pandemii nie możemy sobie wyobrazić naszego istnienia bez Pyszne.pl, Uber Eats, Zalando i innych aplikacji, które tak pomogły nam w czasie pandemii. Skutki tego były widoczne podczas Black Friday w 2021 roku, ponieważ 64,5% Polaków – w większości była to młodzież powyżej 18 lat – zamawiało rzeczy poprzez sklepy internetowe lub też strony internetowe sklepów stacjonarnych, takich jak Zara czy H&M. Zjemy w nowym zmodernizowanym świecie, gdzie wszystko jest dostępne, jeśli masz internet. Czy to dobrze? Na razie pozostawiam to pytanie otwartym, ale warto pamiętać, że wszystko może przynosić korzyści – najważniejszy jest umiar.

Soul Hackers 2 – nowy hit, czy kit od Atlusa?

Soul Hackers 2 jest nową grą JRPG od japońskiego producenta Atlus odpowiadającego za takie wielkie hity jak Persona 5 Royal, czy Persona 4 Golden. Studio powoli odchodzi już od zwyczaju wydawania gier na azjatycki rynek o wiele wcześniej niż tych na rynek zachodni, przez co i tym razem Soul Hackers 2 miało premierę w tym samym czasie na obu rynkach.

Główną bohaterką jest Ringo, humanoidalna postać, która pojawiła się na Ziemi wraz ze swoją towarzyszką Figue za sprawą Aion'u – tajemniczej inteligencji powstałej z morza danych komputerowych.

Powodem istnienia Ringo, jak i głównym wątkiem fabularnym w grze jest zatrzymanie apokalipsy, do której ma doprowadzić śmierć kilku specyficznych osób. Tak zwanych „chronionych obiektów”, które za pomocą kalkulacji wybrał Aion.

Niestety nie udaje się temu zaradzić, więc Ringo dokonuje „soul hackingu” na Arrow'rze, który zostaje zastrzelony chwilę przed jej przybyciem. Soul hacking jest specyficzną umiejętnością głównej bohaterki i zostaje wykorzystany kilka razy w celu przywrócenia do życia pewnych osób.



Nowe JRPG – Soul Hackers 2

Poza głównym wątkiem wiszącej nad ludźmi wizji apokalipsy, równie ważny jest wątek konfliktu Yatarasu oraz Phantom Society, czyli dwóch tajnych organizacji walczących ze sobą od zarania dziejów. Organizacji przywoływaczy demonów. Yatarasu chce chronić zwykłych ludzi przed demonami z ukrycia, a Phantom Society pragnie stworzyć świat, gdzie już nikt nigdy nie będzie musiał się kryć, ani bać, nawet jeśli ma to ozna-

czać koniec tego, który jest nam dotychczas znany. To właśnie ich próbuje powstrzymać Ringo.

Fabula gry jest jej chyba największą zaletą. Skomplikowana, posiadająca kilka twistów, ale przede wszystkim ciągle trzymająca w napięciu. W dodatku bohaterowie, których nie sposób nie lubić, są jak wisienka na torcie. Jednakże gra nie samą fabułą żyje, zwłaszcza nie JRPG, słynne gry turowe z eksploracją.

Właśnie... eksploracja. Eksploracja w tej grze praktycznie nie istnieje. Miejsca, do których możemy się udać, są lokalizacjami w prostej linii, praktycznie nieposiadającymi ukrytych miejsc.

Jednak nie one są najgorsze. Najgorsze są dungeony, które są praktycznie identyczne wizualnie i logistycznie – długie labirynty prowadzące donikąd, ewentualnie piętro wyżej. Strukturą przypominały mi one te z Persony 4, jednak Persona 4 jest grą z 2008 roku. A po Soul Hackers 2, grze wydanej w 2022, spodziewać się można było czegoś więcej. Zwłaszcza że Atlus pokazał w Personie 5 i Personie 5 Royal, że potrafi zrobić interesujące dungeony, które są czymś więcej niż pojedynkiem z tymi samymi wrogami spawującymi się w prostej linii.

Cóż, jeśli o system walki chodzi, to jak to z grami turowymi bywa, albo się go kocha, albo nienawidzi. Jeśli jednak nie jesteście wielkimi miłośnikami turówek, to radziłabym odpuścić sobie grę w Soul Hackers 2, bo umrzecie z nudów grindując poziomo, by móc odblokować dalszy wątek historyczny.

Soul Hackers 2 jest dobrą grą, ale zdecydowanie nie za taką cenę. Jeśli nie przeszkadzają wam do bólu nudne dungeony i nawet lubicie gry turowe, to kiedy gra będzie w promocyjnej cenie, to polecam ją wypróbować

Olga MICHALSKA
olgmic3@st.amu.edu.pl

Super Bowl – największe show USA

Choć do kolejnej edycji tego wydarzenia pozostało jeszcze kilka miesięcy, to kilka dni temu ogłoszono, że to właśnie Rihanna tym razem uświetni swoim występem to widowisko. W mediach rozgorzała wielka dyskusja, większość osób z niecierpliwością wyczekuje już połowy lutego, kiedy będzie można zobaczyć na żywo ten koncert.

Choć od kilku lat świat wyczekuje na informację dotyczącą tego, kto wystąpi podczas tzw. Super Bowl Half Time, czyli w przerwie meczu, to samo widowisko finału futbolu amerykańskiego również przyciąga wielu entuzjastów. W Stanach Zjednoczonych nieoficjalnie uznaje się ten dzień za święto narodowe. Rozgrywki trwają już od 1967 roku, a mecz rozgrywa się zawsze pomiędzy zwycięzcami dwóch konferencji – American Football Conference i National Football Conference. I choć ma to z pewnością wielkie znaczenie dla miejscowej ludności, to ma się wrażenie, że w Europie emocje skupione są bardziej wokół części kulturalno – rozrywkowej. Informacje na ten temat pojawiają się zazwyczaj około 5 miesięcy wcześniej i od tego momentu nie cichną głosy przewidujące, jak będzie wyglądało show, czy pojawią się goście specjalni oraz co zaśpiewa dany artysta, czy artystka.

Od samego początku

W pierwszych latach funkcjonowania występów podczas Super Bowl zapraszane były orkiestry złożone z członków college'u. Dopiero później zdecydowano się zaprosić większe gwiazdy, których zadaniem niewątpliwie było zwrócenie uwagi całego świata na USA i promocja tego kraju oraz wydarzeń przez niego organizowanych. Za początek nowej ery Super Bowl Half Time można uznać rok 1991 i wy-



Mecze futbolu amerykańskiego zawsze przyciągają tłumy kibiców

stęp boysbandu New Kids on the Block. Wtedy zespół przeżywał chwile swojego wielkiego triumfu. Rok później na scenie wystąpiła Gloria Estefan, współcześnie kojarzona głównie z hitów „Conga” i „Running out of Time”. Piosenkarka i autorka tekstów ma na swoim koncie miliony sprzedanych płyt i wyprzedane koncerty na największych stadionach świata. Jednak oczy całego świata zwróciły się na show w USA rok później, kiedy na scenę wyszedł niekwestionowany król – Michael Jackson. Widowisko, które stworzył było czymś zupełnie nowym i do dzisiaj często jest wspomniane. Jego koncert był oglądany przez miliony ludzi na świecie, artysta wykonał swoje największe hity,

a wydarzenie zostało zwieńczone pojawieniem się ogromnej grupy dzieci z całego świata i wspólnym wykonaniem piosenki pt. „Heal the World”. Trzy lata później sceną zawładnęła kolejna wielka artystka – Diana Ross, a już rok później zespół – Blues Brothers.

Czasy największego triumfu

Kolejne tysiąclecie zmieniło nieco wymiar widowiska, ludzie z całego świata właściwie już po zakończeniu jednej edycji z niecierpliwością wyczekują kolejnej. 34. edycja w 2000 roku odbyła się pod znakiem Christiny Aguilery i Phila Collinsa, co wtedy było czymś wielkim i przełomowym. Kolejne dwa lata to dwa

męskie zespoły – Aerosmith i U2. W 2005 solowo wystąpił Paul McCartney, a w następnym roku na scenie stanął kultowy zespół – The Rolling Stones. Kilka lat później zdecydowano się zaprosić do udziału podczas przerwy w meczu futbolu amerykańskiego jedną z największych gwiazd światowej muzyki – Madonnę. Był to zdecydowanie jeden z najważniejszych jej koncertów, podczas którego zaprezentowała najważniejsze momenty jej kariery. W 2013 show swoim występem uświetniła kolejna diva – Beyoncé. Później na scenie pojawiali się tacy artyści jak Bruno Mars, Coldplay, Katy Perry, Lady Gaga czy Justin Timberlake. W 2020 gwiazdy były dwie, i to światowej sławy – Shakira i Jennifer Lopez. Jeszcze przed występem sporo mówiło się o tym, że każda z nich powinna dostać całą przerwę w meczu do własnej dyspozycji i dzielenie się sceną nie wyjdzie widowisku na dobre. Trzeba jednak przyznać, już po koncercie, że dawno żaden inny nie poruszył tak świata popkultury, jak właśnie ten zaprezentowany publice na początku lutego na Florydzie. Kolejny rok oddano zespołowi The Weeknd, a w tym roku show uświetnili raperzy Dr. Dre, Snoop Dogg, Eminem i Kendrick Lamar oraz Mary J. Blige. Za to 12 lutego 2023 roku na scenie w Arizonie ma pojawić się niewidziana od 5 lat Rihanna. Gwiazda po długiej przerwie od koncertów i wydawania nowej muzyki nie mogła wybrać sobie lepszego sposobu na powrót.

Mnożą się głosy na temat tego, czy Rihanna udźwignie pokładane w niej nadzieje na niesamowity występ jak za dawnych lat, czy zaśpiewa nowe piosenki, czy jednak zawładnie sceną za pomocą starych, ale nadal popularnych hitów. Z pewnością jednak występ będzie czymś innym niż te w ostatnich latach, czy da radę jednak przebić sławą show Shakiry i Jennifer Lopez? Okaze się już za kilka miesięcy.

Natalia RÓGOWSKA
natrog7@st.amu.edu.pl

Dzieje polskiej piłki nożnej na szczeblu reprezentacyjnym to materiał na całkiem nie najgorszy thriller. Wielkie zwycięstwa, heroiczne porażki, a niekiedy spektakularne kompromitacje i możliwa do wytyczenia na tym tle niekończąca się sinusoida formy naszych piłkarzy podczas największych światowych imprez.

Z racji zbliżających się Mistrzostw Świata przybliżamy historię naszych występów na mundialach. Zalecamy zapiąć pasy – losy naszej kadry narodowej podczas najważniejszego piłkarskiego turnieju to pasmo zwłotów i upadków, które niekiedy wymykały się jakimkolwiek wytłumaczeniom...

Wejście z futryną

Na pojawienie się na swoim pierwszym mundialu Polska nie musiała czekać długo. Kwalifikację uzyskaliśmy już do trzeciej imprezy w historii. Drużyna trenera Józefa Kaluży jechała na Mistrzostwa Świata w 1938 roku do Francji jako czwarta siła ostatnich Igrzysk Olimpijskich. Na mundialu rozegraliśmy zaledwie jeden mecz. Za to jaki! Pojedynek z wirtuozami z Brazylii był wymarzoną mundialowym debiutem. Choć do starcia tego kadra przygotowywała się w anormalnych warunkach (zaledwie sześć dni zgrupowania), to przeciwko faworytom daliśmy popis gry. Mimo że po pierwszej połowie przegrywaliśmy 1:3, a jedyną bramkę dla nas strzelił z rzutu karnego Fryderyk Scherfke, to po przerwie koncert dał Ernest Wilimowski. Piłkarz Ruchu Hajduki Wielkie (obecnego Ruchu Chorzów) strzelił trzy bramki w podstawowym czasie gry, a w dogrywce dorzucił jeszcze czwartą. Okazało się to za mało – Canarinhos wygrali 6:5, ale mecz ten zapisał się złotymi zgłoskami na kartach historii polskiej piłki. Duży udział w tym miał również ulewny deszcz, który rozpętał się w trakcie drugiej połowy i sprawiał Brazylijczykom niebawale problemy z obuwem. Jeszcze większe problemy sprawiał im jednak Wilimowski, który tym występem potwierdził, że jest jednym z najwybitniejszych polskich piłkarzy, a po meczu był na ustach całego świata.

Orły Górskiego

Na następny mundialowy występ Białoczerwoni musieli czekać jednak aż 36 lat. Na Mistrzostwa Świata w RFN w 1974 roku jechaliśmy jako złoci medalisci Igrzysk Olimpijskich, które choć były nazywane w owym czasie „mistrzostwami Bloku Wschodniego”, to właśnie ten turniej stworzył fundamenty kadry Kazimierza Górskiego z Włodzimierzem Lubańskim i Kazimierzem Deyną na czele.

Aby pojechać na mundial musieliśmy wyjść z grupy eliminacyjnej, w której niekwestionowanym faworytem była Anglia. Zwycięstwo 2:0 na Stadionie Śląskim, a następnie legendarny remis 1:1 na Wembley dał upragniony awans Orłom Górskiego. To właśnie ten drugi mecz nadał tamtej drużynie status wielkich. Bohaterem został Jan Tomaszewski, a gol Domarskiego jest jednym z najważniejszych w historii polskiej piłki.

Do RFN trener Górski nie mógł zabrać kontuzjowanego Włodzimierza Lubańskiego. Jednak i bez niego już w pierwszym meczu pokonał faworyzowaną Argentynę z Mario Kempesem w składzie wynikiem 3:2. To zwycięstwo rozbudziło nadzieje w polskich kibicach, gdyż przed wyjazdem panowało zadowolenie z samego awansu, lecz nie oczekiwano świetnych wyników na samym mundialu. Kolejne zwycięstwa – okazałe 7:0 z Haiti, 2:1 z niedawnymi mistrzami Europy i wicemistrzami świata Włochami, czy już w drugiej rundzie 1:0 po trudnym boju ze Szwedami i 2:1 z grającą o wszystko Jugosławią – sprawiły, że Polska była o krok od gry w finale. W nie-

Mundialowe odliczanie

Polaków losy na Mistrzostwach Świata



Zbigniew Boniek po strzeleniu pierwszego gola w meczu z Belgią w 1982 roku

typowym półfinale z gospodarzami turnieju ulegliśmy 0:1 po starciu określanym dzisiaj jako „mecz na wodzie”. Rozważano przełożenie tego spotkania ze względu na gwałtowną ulewę w trakcie rozgrzewki. Rozgrywki jednak doszły do skutku, a Polakom odebrany został największy atut, czyli gra szybkim atakiem. RFN wystarczył remis do pierwszego miejsca w grupie, lecz gol Gerda Müllera w 76. minucie przechylił szalę zwycięstwa na ich korzyść.

Mistrzostwa skończyliśmy zwycięskim meczem o brąz z Brazylią, wygrywając 1:0 po bramce króla strzelców turnieju – Grzegorza Lato. Brązowy medal Polaków był wielkim osiągnięciem, a dorzucając do tego wyróżnienia w postaci czterech naszych piłkarzy w najlepszej jedenastce mistrzostw i nagrodę najlepszego młodego zawodnika dla Władysława Żmudy, wylania nam się obraz turnieju wręcz mitycznego. I taki też funkcjonuje do dziś.

„Entliczek, pentliczek, co robi Piechniczek?”

Nic więc dziwnego, że na kolejnych mistrzostwach w Argentynie w roku 1978 oczekiwania były już znacznie większe. Kadra Jacka Gmocha nie spełniła ich, choć patrząc z perspektywy czasu i ten mundial należy docenić. Pierwsze dwa mecze to bezbramkowy remis z RFN i wymęczone 1:0 z Tunezją. Nastroje wśród kibiców były raczej minorowe. W spotkaniu z Meksykiem koncert dał jednak debiutujący na mistrzowskiej imprezie Zbigniew Boniek, prowadząc nas do zwycięstwa 3:1 i gwarantując pierwsze miejsce w grupie.

Na fali tego meczu podeszliśmy do starcia z gospodarzami turnieju i choć wynik 0:2 po dwóch golach Kempesa wydaje się jednostronny, to Polacy w Rosario zagrali najlepsze zawody tych mistrzostw, dorównując poziomem do gry przyszłych złotych medalistów. Niewykorzystany rzut karny Deyny przy stanie 0:1 jest uważany za punkt zwrotny tego meczu. Zwycięstwo z Peru 1:0 i porażka z Brazylią 1:3 na zakończenie zabrały nam szansę powtórzenia wyniku sprzed czterech lat.

Ta jednak nadarzyła się na kolejnym czempionacie, tym razem w Hiszpanii. Kadra Antoniego Piechniczka jechała na Półwysep Iberyjski bez meczowego przygotowania, ponieważ ze względu na wprowadzony stan wojenny niemal każdy kraj bojkotował pojedynki z Polską. Co więcej, na

szczeblu partyjnym rozważano nawet wycofanie się z mistrzostw! Do tego ostatecznie nie doszło, a kadra rozpoczęła mundial od dwóch bezbramkowych remisów – z Włochami i Kamerunem. Krytyka polskiej reprezentacji była ogromna, a nie uchronili się przed nią nawet Boniek i Szarmach. Podobnie wyglądała pierwsza połowa meczu z Peru, który miał dać odpowiedź, czy pozostaniemy w grze. W drugiej połowie jednak nastąpiło przełamanie niemocy i ostatecznie wygramyśmy aż 5:1.

Zahartowana w ogniu krytyki kadra Piechniczka, znakomicie przygotowana fizycznie, rozwijała skrzydła coraz bardziej, wygrywając z Belgią 3:0 po hat-tricku Zbigniewa Bońka i jego fantastycznym występie. Kluczowy mecz był jednak dopiero przed Białoczerwonymi, a był nim pojedynek ze Związkiem Radzieckim. Starcie naładowane politycznymi podtekstami, z flagą Solidarności wywieszoną dumnie na trybunach Camp Nou, a do tego stawką był awans do półfinału. „Zwycięski” remis 0:0 dał nam upragnione miejsce w czwórce, a mecz do dzisiaj jest wspomniany jako jeden z największych triumfów polskiego sportu czasów PRL-u.

Porażka z Włochami w półfinale 0:2 po golach Paolo Rossiego nie zmazała dobrego obrazu naszej drużyny na tych mistrzostwach. Zwycięstwo w meczu o brąz z Francją pozwoliło wyrównać wynik kadry Górskiego, a Antoni Piechniczek mimo słabego początku zyskał miano legendy.

Koniec epoki

Statusu tego nie zmieniły nieudane mistrzostwa w Meksyku w 1986 roku. Zwycięstwo 1:0 z Portugalią dało nam awans z trzeciego miejsca w grupie i nie pozbawiła nas go nawet porażka z Anglią 0:3 po trzech golach Gary’ego Linekera. Mecz 1/8 finału to klęska 0:4 z Brazylią. Wynik natomiast nie oddawał boiskowej rzeczywistości, gdzie nasi piłkarze objęli słupki i poprzeczki bramki Canarinhos, a całościowo był to nasz najlepszy mecz.

Przed wszystkim jednak pojedynek z Brazylijczykami był końcem pięknej ery polskiego futbolu. Przez najbliższe kilkadziesiąt lat w głowach kibiców pobrzmiwać będą słowa nazwane później „klątwa Piechniczka”, który żegnając się z prowadzeniem kadry narodowej życzył swojemu następcy, aby „dwa razy poprowadził reprezentację do finałów z lepszym stylem i lepszymi osiągnięciami”.

Życzenie trenera nie spełniło się tak bardzo, że na awans na kolejny mundial czekaliśmy aż do 2002 roku. Wyjazd do Korei Południowej i Japonii wywalczył trener Jerzy Engel z zupełnie nowym pokoleniem piłkarzy – z Maciejem Żurawskim, Tomaszem Hajto, braćmi Żewłakow czy wreszcie z Emmanuelem Olisadebe. Oczekiwania w kraju były ogromne, a i fantazja kibiców była daleka od spełnienia. Porażka na inaugurację z Koreą Południową 0:2 była wstępem do klęski 0:4 z Portugalią. Tak jak w pierwszym meczu Engel nie trafił z odpowiednim zmotywowaniem podopiecznych, przekonując w szatni, że „jesteśmy zdecydowani lepsi piłkarsko”, to w drugim różnica klas była aż nadto widoczna. Naszym katem okazał się Pauleta, który z hat-trickiem stał się koszmarem naszych defensorów. Zwycięstwo w meczu o honor ze Stanami Zjednoczonymi 3:1 jedynie potwierdziło, że potencjał w kadrze Engela był spory, natomiast wybory personalne selekcjonera w pierwszych starciach pozostawiały wiele do życzenia.

Podobny schemat powtórzył się cztery lata później. W Niemczech doszło do jednej z największych kompromitacji naszej reprezentacji. Kadra Pawła Janasa trafiła do niezbyt silnej grupy, a jednak już w pierwszym meczu z Ekwadorem nastąpiła weryfikacja naszych marzeń o awansie do fazy pucharowej. Porażka 0:2 była pokazem nieudolności, czego dowodem jest brak jakiegokolwiek celnego strzału naszej drużyny. Mecz o wszystko z Niemcami to popis Artura Boruca w bramce, lecz i to nie wystarczyło, by ugrać chociaż punkt z gospodarzami, którzy w 90. minucie trafili na 1:0. Na otarcie łez pozostało nam zwycięstwo 2:1 z Kostaryką po golach Bartosza Bosackiego. Kolejny turniej, kolejne rozczarowanie.

Mundialowa niemoc

W 2018 roku na mundial w Rosji jechaliśmy opromienieni wspaniałym wynikiem osiągniętym na Euro 2016 oraz dobrymi eliminacjami. Adam Nawalka miał pełne zaufanie wśród kibiców, a balonik pompowany był niemal tak bardzo, jak przed czempionatem z 2002 roku. Polska specjalność znów okazała się gwoździem do trumny. Porażka na otwarcie z lekceważonym Senegalem 1:2 po fatalnych błędach w obronie sprawiła, że plan taktyczny na kolejny „mecz o wszystko” był zupełnie inny, niż planowany pierwotnie. Rywalizacja z Kolumbią miała rozstrzygnąć losy pierwszego miejsca w grupie, a w rzeczywistości sprawiła, że mogliśmy już wtedy pakować walizki. Lekcja futbolu i porażka 0:3 przekreśliła szansę na jakikolwiek sukces. Za taki bowiem nie można uznać honorowego zwycięstwa 1:0 z Japonią, które utkwiło w pamięci kibiców przede wszystkim z powodu komicznych ostatnich dziesięciu minut, kiedy wynik zadowalał i Japończyków, będących pewnymi wyjścia z grupy, i nas.

Czy na mistrzostwach w Katarze przełamiemy mundialową niemoc trwającą przez cały XXI wiek? Trudno stwierdzić jednoznacznie, jak bowiem uczy historia, po reprezentacji Polski na mundialach można spodziewać się niespodziewanego. Nie ma wątpliwości jednak, że oczy całego kraju będą zwrócone na Czesława Michniewicza i jego drużynę. A za kilka lat wspominać będziemy i ten mundial. Może będziemy z rozrzewnieniem wracać do Kataru niczym do RFN czasów Górskiego, a być może będziemy uciekać myślami od niego, tak jak od występów w Korei i Japonii... Historia napisze się na naszych oczach.

Mistrzostwo zdobyte po raz pierwszy wprowadza sportowca do galerii sław. Jego kolejne osiągnięcia plasują go coraz wyżej, zdobywa ciągle więcej i więcej. Gdy wygra już zupełnie wszystko, musi czuć spełnienie. Wtedy też odchodzi. Ale co, jeśli w przeciągu miesiąca tak globalna dyscyplina jak tenis traci swoich dwóch wielkich patronów?

Kariery Sereny Williams i Rogera Federera inspirowały i będą inspirować adeptów nie tylko białego sportu, ale też wszelkich innych dziedzin. Dwie zupełnie inne drogi prowadzące do perfekcji. To, co ich łączy to rok urodzenia – 1981, profesjonalizm i wielka miłość do tenisa. Nie można inaczej, jak zakochanych w sporcie, opisać dwoje płaczących sportowców uświadamiających sobie zakończenie ich wielkiej drogi. Traktu, który prowadził ich nie tylko na korcie, ale też poza nim. Walczyli o ludzi wykluczonych społecznie i pomagali swoimi czynami innym. Mecze towarzyskie czy wydarzenia charytatywne były dla nich codziennością. Bycie sportowcem i dobrym człowiekiem było dla tej pary synonimem. Po prostu.

Początki były inne, koniec ten sam

On z dobrego domu, z rodzicami farmaceutami za plecami rozpoczął karierę w wieku ośmiu lat. Dziewięć lat później był już mistrzem juniorskiego Wimbledonu i liderem rankingu do lat osiemnastu. Ona, dziewczyna z Queens, walczyła nie tylko o równie utalentowaną siostrę o zaufanie ojca trenera, ale też z otoczeniem. Sport białych dam musiał się zmienić, gdy razem z Venus wkroczyły na kort. Na szczęście się zmienił, a duet sióstr Williams zaczął dominować w rozgrywkach.

Potem wygrywali oboje. Wszystko, co można było zgarnąć, zgarnęli. Na końcu – tak jak przez całą karierę – znów byli blisko siebie. Podjęte decyzje doprowadziły ich do końca przygody. Wrzesień był miesiącem podsumowań o niespotykanej skali. Okresem, gdy lzy same cisnęły się do oczu, choć ich przyczyn było wiele. Serena i Roger odeszli od zawodowego tenisa, ale zostali w historii sportu zapisani złotymi zgłoskami.

Liczy niespotykane w świecie gęstej rywalizacji

Rozpoczynając swoje kariery, zarówno Amerykanka, jak i Szwajcar, weszli w okres, w którym o pozycje liderów rankingów walczyło wielu zawodników i zawodniczek. Serena walczyć musiała z doskonałymi Hiszpankami: Conchitą Martinez czy

Tenisowa abdykacja królewskiej pary

Arantzą Sánchez Vicario, oglądać się za grupą silnych Rosjanek na czele z Dinarą Safiną, czy na własnym podwórku ogrywać liderki rankingu Lindsay Davenport i Jennifer Capriati. Federer, gdy wkraczał do zawodowego tenisa, spotkał się z amerykańskim złotym duetem Sampras-Agassi. Byli też Nalbandian, Becker czy Hewitt. Oboje mieli silną konkurencję, której już na początku postawili niezwykle wysoką poprzeczkę.

Szybciej na sukces gotowa była Serena. Już w 1999 roku wygrała US Open. Szwajcar pierwsze wielkoszlemowe trofeum do swojej gąbki mógł włożyć dopiero cztery lata później. W Wimbledonie 2003 pokonał w decydującym meczu Australijczyka Marka Philippoussisa. Każdy kolejny rok tej dwójki powiększał ich zasługi dla tenisa. Roger zakończył karierę z dwudziestoma tytułami Wielkich Szlemów, Williams zbierała ich aż dwadzieścia trzy. Wygrali razem ponad 200 turniejów tenisowych na przestrzeni trzech dekad. Są mistrzami olimpijskimi i mistrzami Turniejów Mistrzów. Byli liderami rankingu ponad 300 tygodni, czyli więcej niż sześć lat. Zdominowali rozgrywki przed długi okres. Zarówno Amerykanka, jak i Szwajcar blisko byli kalendarzowych Wielkich Szlemów. Rogerowi na tej drodze często w finale Roland Garros stawał Rafael Nadal, zaś Williams zabrakło dwóch meczów do osiągnięcia tej sztuki. W 2016 roku, w półfinale US Open wyeliminowała ją Włoszka Roberta Vinci. Oboje osiągnęli w tenisie wszystko. Mimo porażek, które są nierozłączną częścią sportu, podnosili się, by walczyć dalej, by po raz kolejny udowodnić światu swoją wielkość.

Nie wszystko było różowe

Życie sportowca, zwłaszcza mistrza wystawianego ciągle na piedestał dyscypliny, jest niezwykle trudne. Każdy ruch, również ten pozasportowy, jest oglądany i komentowany. Co więcej, kontuzje nie opuszczały legend na różnych etapach ich karier. Dynamiczne i siłowe style przyspieszyły koniec, i tak długiej, kariery królewskiej pary. Niedoleczone kolano przypięczone do kariery Szwajcara. Serena na emeryturę odeszła w lepszej kondycji. Choć w połowie kariery problemów miała wiele. Zakrzepica wykryta w 2011 roku omal nie zakończyła się śmiercią mistrzyni. Ona po raz kolejny wróciła, a po urodzeniu dziecka, córki Olimpi, walczyła jeszcze w trzech finałach wielkoszlemowych turniejów. Wciąż była groźna. Nawet w ostatnich meczach potrafiła wyeliminować wiceliderkę rankingu Estonkę Kontaveit.



Williams i Federer zmienili nie tylko tenis, ale cały sport

Zmęczenie jednak osiągnęło poziom maksymalny. Tak tylko argumentować można pożegnanie się z ukochanym etapem życia.

Ostatnie tańce na bankiecie króla i królowej

Serena Williams koniec kariery ogłosiła na początku sierpnia w trakcie wywiadu przeprowadzonego dla miesięcznika Vogue. Na ostatnią przystań wybrała Nowy Jork, miasto swojego wielkiego sukcesu, ale też przegranych. Trzy mecze rozegrane na największym korcie świata Arthur Ashe Stadium przy pełnej publiczności wrzuciły Amerykankę do łez. Serena zawsze podkreślała, że trudno jej powiedzieć „do widzenia”, ale wreszcie to zrobiła. Odeszła jak zawsze – na swoich warunkach. Roger, widząc jedno odejście, postanowił zorganizować drugie. Na pokazowym turnieju Laver Cup, gdzie walczyły dwie ekipy (Europa kontra obie Ameryki grające razem), zagrał swój ostatni mecz. Debel z Rafaelem Nadalem, mimo iż przegrany, wycisnął lzy z każdego miłośnika sportu. Płakał też Nadal, który wygrywał i przegrywał z Rogerem najważniejsze mecze w karierze.

Szybko zakończyło się to, co budowane było przez lata. Wszystkie zwycięstwa, trofea i medale odeszły w ką, robiąc miejsce tym, którzy w ich blasku stać powinni. Na samym końcu stanęli więc Williams i Federer przed ludźmi, przed swoimi fanami, którzy podziękowali im w imieniu milionów. Wylane lzy nie były wyrazem smutku, ale niewyobrażalnej wdzięczności. Sport ciągle ma Serenę i Rogera, ale tenis bez nich będzie już zupełnie inny.

Eryk WIĘSYK
erywie@st.amu.edu.pl

Drugi tytuł Latającego Holendra

Max Verstappen po raz drugi w swojej karierze sięgnął po tytuł mistrza świata Formuły 1! Kierowca zespołu Red Bull Racing nie miał sobie równych w sezonie 2022 i podczas rozgrywanego na początku października Grand Prix Japonii przypięczone swoje mistrzostwo na cztery wyścigi przed końcem zmagania.

Mówi się, że jednym z najtrudniejszych wyzwań w Formule 1 jest nie samo zdobycie tytułu mistrzowskiego, a jego utrzymanie. Max Verstappen właśnie to zrobił, choć można odnieść wrażenie, że trudniej w jego przypadku było o to pierwsze.

Sezon (niemal) idealny

Rok 2022 to rok olbrzymiej rewolucji technicznej w Formule 1. Władze sportu zezwoliły bowiem zespołom na powrót do stosowania znanego w tym sporcie od lat 70. i 80. tzw. efektu przypowierzchniowego. Zmiany te, jak się okazało, wyrzuciły stawkę do góry nogami. Dotychczasowy dominator, czyli Mercedes, zupełnie się w nich nie odnalazł. Niemiecki zespół zajmuje dopiero trzecie miejsce w klasyfikacji konstruktorów oraz nie był w stanie wygrać żadnego wyścigu, mimo iż kilka szans miał na wyścigach ręki.

W tej sytuacji na liderów wyrosły dwie ekipy, które dopełniały dotychczasową trójkę: Red Bull, z Maxem na czele, oraz Ferrari, którego nadzieją na walkę o oba mistrzostwa (kierowców i konstruktorów) był Charles Leclerc. Verstappen już w 2021 roku zdołał zdobyć swój pierwszy tytuł mistrzowski, Leclerc natomiast po raz pierwszy w karierze miał stanąć w walce o tytuł. No właśnie, miał..., bo jak się okazało, Ferrari wolało potykać się o własne nogi. O ile rywalizacja między Maxem i Charlesem była czysta i między nimi nie brakowało świetnych pojedynków na torach całego świata, tak różnicę robiły zespoły. Red Bull i Ferrari były w tym sezonie niczym niebo a ziemia. Red Bull nieco słabiej ruszył, co było spodziewane po tym, jak bardzo zespół był zaangażowany w walkę o tytuły w ze-

szłym roku, jednak po trzecim wyścigu sezonu „puszki” niemal nie spełniały wtop rozwojowych i strategicznych.

Oczywiście, pewnie wielu powie, że to zasługa bolidu i zespołu – tak, ale nie każdy osiągnie swoje szczyty w każdym aucie, a jeśli zespół popełnia błędy strategiczne, to nawet najlepszy kierowca nie naprawi ich swoim tempem. Jednak oprócz tego należy przyznać, że Verstappen jeździł niemal jak maszyna. Był prawie nie do zatrzymania i nawet startując z odległych miejsc był w stanie wygrywać wyścigi. Koronnym tego przykładem jest Grand Prix Belgii, w którym holenderski kierowca startował z 15. miejsca, by zwyciężyć w dominującym stylu. Lecz nawet jemu zdarzały się wpadki. Najpoważniejszą z nich było Grand Prix Singapuru – w tym wyścigu Max nie sprawiał dobrego wrażenia, fatalnie wystartował i stracił kilka pozycji, a oprócz tego popełnił kolosalny błąd zbyt mocno hamując podczas ataku na Lando Norrisa (McLaren), przez co omal nie rozbił się i nie stracił szans na punkty.

Mistrz na Suzuce

Max Verstappen sięgnął po drugi tytuł mistrzowski podczas Grand Prix Japonii rozgrywanego w niezwykle trudnych, deszczowych warunkach na torze Suzuka. Dodatkowo nie było pewne, czy Holender w ogóle zdobędzie tytuł, po tym jak ze względu na silne opady zawieszono jazdę na dwie godziny. Po wznowieniu zawodnicy pokonali tylko nieco ponad połowę planowanego dystansu (ostatecznie zabrakło regulaminowego czasu). Mimo to Verstappen doskonale odnalazł się w tych nieprzewidywalnych warunkach atmosferycznych. Z łatwością uciekł drugiemu Leclercowi i zbudował nad nim solidną przewagę. Przekroczył linię mety jako pierwszy i jedyne na co musiał patrzeć, to który przyjedzie Leclerc goniony przez partnera zespołowego Holendra – Sergio Perezę. W samej końcówce kierowca Ferrari popełnił znaczący błąd – wypadł z toru w szycanie przed prostą startową i wrócił tuż przed nosem Perezę, niemal doprowadzając do kolizji. Sędziowie zareagowali natychmiastowo i wymierzili Leclercowi karę doliczenia pięciu sekund do czasu jego wyścigu, przez co spadł na trzecie miejsce.

Sprawa mistrzostwa pozostawała wciąż niejasna, ze względu na wątpliwości dotyczące systemu punktacji. Max, aby zdobyć mistrzostwo potrzebował o osiem punktów więcej od Charlesa oraz o sześć więcej od Perezę. Kierowcy pokonali około 53% dystansu GP Japonii, wobec czego spodziewano się, że sędziowie wykorzystają wprowadzony przed sezonem system punktowy, według którego w sytuacji, gdy kierowcy pokonają 50-75% dystansu, dostaną mniej punktów (1. miejsce – 19 punktów, 2. – 14, 3. – 12) niż zazwyczaj (1. miejsce – 25 punktów, 2. – 18, 3. – 15). Jednak z powodu błędnej komunikacji sędziów nie wyjaśniono, że zmiany te dotyczą tylko sytuacji, w której wyścig nie został wznowiony po przejechaniu odpowiedniego dystansu. Jako że GP Japonii zostało wznowione, to przyznano pełną pulę punktów, co w tym scenariuszu dało Maxowi Verstappenowi drugi tytuł mistrzowski w jego karierze. O tym, jak źle zmiany zostały zakomunikowane, niech świadczy fakt, że sam Verstappen nie był pewien czy został już mistrzem, czy też nie!

Czego się spodziewać za rok?

Rok 2022 był pierwszym rokiem zmian w filozofii budowy bolidów, więc jasnym jest, że nie każdy dobrze trafił z ideą budowy własnej maszyny. Z tego powodu Red Bull musi uważnie obserwować chociażby Mercedesa, który jest jednym z najpoważniejszych kandydatów do kontraktacji za rok i który z pewnością będzie chciał drugiej rundy w walce o mistrzostwo.

Ferrari pozostaje dla mnie większą niewiadomą – głównym problemem włoskiego zespołu nie jest słaby samochód, a niezdolność wykorzystania jego potencjału przez zespół. Scuderia potrzebuje zmian od środka i nie wiadomo, czy czasem stanowiska nie straci obecny jej szef – Mattia Binotto. Jednak takie zmiany wymagają czasu i mogą ponownie odsunąć włoski zespół od walki o mistrzostwo. Team z Maranello, nawet mimo zmian, może pozostać silnym kandydatem do walk o tytuły.

Co by nie mówić, sezon 2023 może być jeszcze ciekawszy i być może zobaczymy potrójny pojedynek o mistrzostwo. Jest to coś, czego Formuła 1 potrzebuje i miejmy nadzieję, że ktoś podgoni Red Bulla i rzuci mu rękawicę.

Bartosz KABACIŃSKI
barkab1@st.amu.edu.pl